



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

OD REDAKCYI.

WIECZORY RODZINNE wychodzić będą w roku przyszłym pod tą samą redakcją i na tych samych warunkach. Nie przestaniemy dokładać wszelkich starań, ażeby młodzi czytelnicy znaleźli w Piśmie naszym rozrywkę połączoną z pożytkiem.

Od 1 Stycznia roku 1881 rozpoczniemy powieść historyczną przez p. Paulinę Krakowową, pod tyt: *Bohaterka z nad Szreniawy* i komedijkę stosowną do przedstawienia na teatryku domowym. Po dawać także będziemy w dalszym ciągu *Czytania Wieczorne* p. A.

Dzieduszycki, oraz *Pogadanki o sztukach pięknych*, które obejmą historią architektury, rzeźby, malarstwa i muzyki. Po ukończeniu historii architektury przez M. J. Zaleską, nastąpi historia muzyki, opracowana przez p. Wandę Żeleńską.

Oprócz autorek i autorów, którzy Pismo nasze w tym roku zasilali swojemi pracami, przyrzekła nam współpracownictwo swoje p. Seweryna Duchńska, znana z dawniejszych prac dla dorastającej młodzieży pod nazwiskiem Pruszkowej. Śpiewów przyrzekł nam dostarczać p. Czubski, znany autor śpiewników dla młodzieży.

W dodatku, jeszcze w roku bieżącym, rozpoczniemy powieść naśladowaną z angielskiego pod tyt: *Tajemnica starego dworu*. Początek wszysej nowoprzybywający prenumeratorzy otrzymają bezpłatnie. Wszystkich upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w odbiorze Pisma.

Najlepiej przesyłać pieniądze wprost pod adresem Redakcyi, obecnie Marszałkowska Nr. 77, od 1 Stycznia r. 1881 S-to Krzyżka Nr. 14.



Wzór do rysunku.

Objaśnienie wzoru do rysunku.

Dziś możecie sobie dla rozrywki przerysować kilka razy główkę dziecka, przedstawioną na wzorze. Radzimy wam dla wprawy wykonać ją w różnych rozmiarach; potrafiacie z łatwością ją powiększyć, odznaczając na papierze linie, podobne do tych, któreście mieli na poprzednim wzorze. Wyraz tej twarzy jest bardzo miły, a jeśli uważnie i starannie zachowacie wszystkie proporcje, powiększając rysunek, wyraz ten i w większych rozmiarach się zachowa. Odrazu nie może pójść bardzo dobrze, ale nie trzeba się zrażać, tylko przypatrywać się uważnie, w czym zachodzi największa różnica od wzoru, a dojdziecie zaraz, gdzie jest myłka. Najważniejszą tu rzeczą tak, jak w każdej robocie, jest cierpliwość i wytrwałość. Kto chce zrobić dobrze, musi czasem i dziesięć razy przerebować, póki mu się zupełnie nie uda.

B A K.

—Proszę wujcia! puść mi baka!
Bo ja nie potrafię;
Zawsze mi się bak zabląka
Pod sofą, lub w szafie.

—Patrzaj, chłopczel! puszczam baka,
Lecz choć znam tę sztukę,
Bak i mnie się często zabląka,
Tobie na naukę.

Bez rozumu, wzorem baka,
Kto na oślepie bieży,
Ten się często też zabląka
Pamiętaj, młodzieży!

M—a.

OPOWIADANIA NAUKOWE DZIADUNIA.

VI.

Magnes i telegrafy.

— Patrz, patrz, Zosiu—mówił Adaś, pokazując siostrzyczce obrazek, który i czytelnicy mogą obaczyć na środkowej stronicy naszego Pisma—te dzieci bawią się takimi kaczkami, co do magnesu tak biegną, jak ta nasza rybka, pamiętasz? ale oni jeszcze tacy mali, że pewnie nie rozumieją nawet, jakim to sposobem się dzieje.

— A ty, dorosły człowieku, czy to rozumiesz?—odezwał się z uśmiechem dziadunio, bo ta rozmowa toczyła się w jego bibliotece.

ZOSIA. O, dziadziu, przecież i ja to wiem doskonale. Ten magnes to taki jest sobie zabawny, że małe kawałeczki żelaza przyciąga.

ADAŚ. Któżby już tego nie wiedział; ja nawet coś więcej słyszałem o magnecie, czego ty, Zosiu, pewnie nie wiesz. Byłem wczoraj u Kazia, on ma kompas z igielką magnesową, szkoda, żeś tego nie widziała.

ZOSIA. Kompas? czy to ten, co godziny pokazuje na słońcu?

ADAŚ. Ale gdzieżtam, zupełnie co innego; wygląda tak, jak zegarek kieszonkowy, ale w miejscu wskazówek jest cienka żelazna igielka namagnesowana. Kazio powiada, że ona zawsze ma jeden koniec zwrócony na północ, drugi na południe; żeby nie wiem jak kręcić ten kompas, igielka wykręci się także i pokaże północ i południe. Kazio nazywa nawet jeden jej koniec biegunem północnym, drugi południowym.

ZOSIA. Dziaduniu, czy to wszystko prawda?

DZIADZIO. Prawda, moje dziecko; taki kompas czyli busola, znajduje się zawsze na okręcie, a żeglarze, patrząc na igłę magnesową, rozpoznawają, z której strony jest północ, a z której południe.

ZOSIA. A potem już zgadują, gdzie wschód i zachód. Jabym to także potrafiła; obróciłabym się wprost do północy, z tyłu, za sobą, miałabym południe, po prawej ręce wschód, po lewej zachód.

ADAŚ. Nie wiedziałem, że magnes może być taki pożyteczny; ja myślałem, że to zabawne żelazko tylko do takich kaczek i rybek przydać się może.

DZIADZIO. To ty zabawny jesteś z takim przekonaniem. Gdybyś wiedział, jakie są różne magnesy na świecie i jakie z nich robią przyrządy, tobys się dopiero zadziwił.

ADAŚ. A czemuż dziadzio kochany nie opowie nam o takich ciekawych rzeczach?

DZIADZIO. Wszakże dopiero co mówiłeś, że wiesz wszystko o magnesach i wszystko rozumiesz.

ADAŚ. Ej, dziaduniu, tak mi się zdawało, a teraz mi się znów zdaje, że nic a nic nie wiem.

ZOSIA. Doprawdy, dziadunieczku, ja się ztąd nie ruszę, póki się nie dowiem o tych różnych magnesach. Ja tylko taki widziałam, co przyciąga kaczki i rybki, pływające po wodzie.

DZIADZIO. Kiedyż to nie łatwa sprawa wytłómaczyć wam takie rzeczy. Trzeba by wam wprzód dać wyobrażenie o innej sile, zwaną elektrycznością, bo ona to razem z magnesami przeróżne dziwy wyprawia dziś po świecie. Niedaleko szukając i w telegrafach cały mechanizm zależy od takich dowcipnych magnesików, które przyciągają sztabki żelazne, tak samo, jak w zabawkach ten magnes przyciąga rybki i kaczki.

ZOSIA. Telegraf! ach, dziadziu, to śliczna rzecz; ja już od dawna chciałam prosić, żeby nam dziadunio wytłómaczył, jak te druciki mogą tak okropnie prędko listy przenosić.

ADAŚ. Jaka ty jesteś dziecinna; one wcale nie przenoszą listów, tylko dziwnym jakimś sposobem przez te druciki dają znać z jednej stacyi na drugą, co tam mają napisać.

ZOSIA. Ba! ale jakim sposobem; jabym tak chciała wiedzieć.

DZIADZIO. Posłuchajcie cierpliwie, uważnie, a może mi się uda dać wam o tém nie-

jakie wyobrażenie. Najprzód trzeba wiedzieć, że w każdym przyrządzie mechanicznym najważniejszą rzeczą jest wprawić w ruch różne części przyrządu, a do tego nie bardzo się przydać może magnes zwyczajny, który przyciągnie kawałek żelaza i już go potem trzyma na jednym miejscu. Ale udało się ludziom odkryć taki sposób, ażeby zwyczajne żelazo mogło stać się magnesem na jedno mgnienie oka, a tak kolejno w nadzwyczaj szybkich ruchach przyciągać i znów wypuszczać drugi kawałeczek żelaza, umieszczony naprzeciw niego.

ADAŚ. To wyborny pomysł, ale jakże to można zrobić?

DZIADZIO. Przypomnijcie sobie, cotośmy dawniej mówili nieraz o siłach w przyrodzie.

ZOSIA. Wiem już, wiem; dziadzio mówił, że siła różne rzeczy porusza. Pokazało się nawet, czegośmy się wcale nie spodziewali, że ciepło jest potężną siłą, bo mnóstwo rzeczy może się od ciepła poruszać.

DZIADZIO. Jest w przyrodzie inna siła, niemniej potężna; ona może wywołać i światło, i ciepło, i ruch najgwałtowniejszy, jaki znamy na ziemi. Ta siła nazywa się elektrycznością; czy nigdyście o nią nie słyszeli?

ADAŚ. Dziaduniu, ja pamiętam, kiedyś była burza okropna, błyskawice latały po niebie, grzmoty huczały raz po raz, a ojciec powiedział: Otóż się elektryczność rozigrała.

DZIADZIO. Błyskawice i pioruny są najłepiej i najpowszechniej znanym zjawiskiem elektryczności. Ale też sama siła przejawia się w tysiącnych innych postaciach, a ma jakiś dziwny, niepojęty stosunek z magnesami. Największy pożytek przynoszą ludziom elektryczne prądy, czyli strumienie, tak nazwane dla tego, że zdają się płynąć, a tym sposobem przebywają z niesłychaną szybkością przestrzenie ogromne, można je więc przeprowadzić po drutach choćby niewiém jak długich, choćby na drugi koniec świata i to w jednym mgnieniu oka.

ZOSIA. I to taki prąd płynie po drutach telegraficznych? ale cóż to jest takiego?

DZIADZIO. Na to odpowiedzieć trudno; płynie jakaś siła, ale co to jest takiego, ani

ja, ani nawet mędrsi odemnie wytłómaczyć nie umięją.

ADAŚ. A jakże to można poznać, że tam coś płynie, kiedy nic nie widać?

DZIADZIO. Ba, poznać nie trudno, dość byłoby rękę przytknąć, tylko że to nie zawsze przyjemnie, a często i niezbyt bezpiecznie. Taki prąd sprawia w ciele wstrząśnienie dziwnego rodzaju, a jeżeli jest silniejszy, może i zabić człowieka tak samo, jak piorun, bo też to jest ta sama siła. Lepiej więc, zamiast ręki, przyłożyć do drutu taki przyrząd, który wskaże jaknajdokładniej siłę prądu.

ZOSIA. Chciałabym jednak wiedzieć, zkąd oni tam w telegrafach biorą te prądy, bo przecież piorunów nie sprowadzają z nieba.

DZIADZIO. Piorun na nicby się nie zdał, strzeliłby raz i po wszystkim, a w telegrafach potrzebne są prądy ustawicznie płynące. Teraz już ludzie umięją je wytwarzać z największą łatwością.

ADAŚ. Ale z czegoż? przecież człowiek nie może nic zrobić z niczego.

DZIADZIO. Elektryczności robić nie potrzeba, bo jęj wszędzie pełno, idzie tylko o to, żeby ją pochwycić i zaprządzić do roboty. Prądy wytwarzają się zwykle za pomocą przyrządu, który się nazywa stosem.

ZOSIA. Jakież to zabawne nazwisko, tak, niby kupa czegoś.

DZIADZIO. Wynalazca pierwszego stosu, Włoch, Volta, nadał mu rzeczywiście kształt stosowny do tęg nazwy. Stos Volty składa się z krążków metalowych, poprzekładanych krążkami sukna, a te zwilżone są wodą kwaśną; wszystkie te krążki leżą jedne na drugich i razem wygląda to, jak słupek. U obu końców takiego stosu przyczepione są dwa druty, a te mogą być jaknajdłuższe, prądy wypływające ze stosu mogą biedz na kraj świata, byle miały drogę, a tą drogą dla nich są druciki. Teraz już te przyrządy zupełnie inaczej wyglądają; są to naczynia szklane, lub gliniane, a w nich różne blaszki, zawsze kwaśną wodą zwilżone, bo to od tego powstają prądy; zawsze też dwa druty wychodzą z dwóch różnych blaszek. Jak tylko końce obu tych drutów zostaną z sobą

zetknięte, zaraz prąd elektryczny zaczyna w nich krążyć nieustannie. Jeżeli stos jest dość silny, to jest ma w sobie znaczną ilość blaszek, można nawet ten prąd obaczyć, Adaś nie powiedziałby już wówczas, że tam nic nie widać.

ADAŚ. A cóż tam się widzi, dziaduniu, ciekawy jestem?

DZIADZIO. Dość jest dwa końce drutów troszeczkę rozdzielić, a zaraz w tęg przerwie zacząną się sypać iskierki. To prąd tak się niecierpliwi, że mu drogę wygodną po tych drucikach przerwano.

ZOSIA. Ach, dziaduniu, aż mi się straszno zrobiło; chciałabym jednak zobaczyć to kiedy zdaleka. Byłabym bardzo ostrożna, za nic nie dotknęłabym się takiego drucika.

DZIADZIO. Słabe prądy nie są szkodliwe, bywają nawet pomocne w niektórych chorobach i używają się jako lekarstwo.

ZOSIA. A żeby tak kto dotknął tego drutu w telegrafie?

DZIADZIO. W telegrafach działają zwykłe słabe stosy, widziano jednak nieraz, jak ptaszęta, siedzące nieostrożnie na tych drutach, spadały z nich, jakby piorunem rażone, gdy nagle przepłynął prąd, niosący depeszę.

ADAŚ. Ale nie jeszcze nie wiemy, co ten dziwny prąd tam robi w telegrafach; jak on może depeszę napisać?

DZIADZIO. Tu właśnie pora wspomnieć o magnesach. Mówilem wam przed chwilą, że odkryto sposób wzbudzania w zwyczajném żelazie własności magnesu, to jest siły przyciągającej. Otóż to prąd elektryczny takięj sztuki dokazać może. Wyobrażcie sobie długi drucik, zwinięty śrubowato w kształcie rurki, tak, jak to nici zwijają się na szpulkach. Drucik ten jest miedziany, bo się przekonano, że prądy elektryczne najłatwiej przez taki przechodzą, okręcony porządnie jedwabiem, a wówczas, chociaż jest ciasno zwinięty, warstwy leżące jedne na drugich nie przylegają do siebie, bo je rozdziela jedwab. Taki zwój drutu nazywa się cewką. Teraz zwyczajna sztabka żelaza wsuwa się w tęg cewkę, jakby w pokrowiec, a od cewki idzie drut bardzo daleko, aż na drugą stacyą telegraficzną. Tam jest znów stos ele-

ktryczny, a w nim, jak wiemy, powstaje prąd i pędzi z nadzwyczajną szybkością po tym druciku, przybywa na drugą stacyą, wpada w tę cewkę, obiega cały zwój drutu dokoła—i wicież, co się dzieje? Żelazo wsunięte w cewkę, pod wpływem tego prądu, zostaje magnesem. Ale przypomnijmy sobie, że prąd wypływa ze stosu tylko wtenczas, kiedy się zetkną z sobą owe dwa druty, od dwóch odmiennych blaszek wychodzące. Można więc z największą łatwością taki prąd wysłać po druciku i w mgnieniu oka zatrzymać znowu; można też wysłać go i zatrzymać kolejno, dwa, trzy, dziesięć razy i więcej, a wówczas tyleż razy na drugiej stacyi żelazo w cewce na jedno mgnienie oka stanie się magnesem, i przyciągnie, i znów puści żelazko umieszczone naprzeciwko siebie. Wyobraźcież sobie, że to żelazko, przyciągane tym sposobem, połączone jest ze wskazówką, która tkwi na tarczy okrągłej, jak u zegara. Na tarczy zaś, w miejscu godzin, są dokoła litery abecadła. Dajmy na to, że z jednej stacyi na drugą chcą przesłać wyrazy: *Adaś zdrow*. Wskazówka stoi po środku, gdzie niema żadnej litery; ale otóż prąd przeleciał przez cewkę, żelazo się namagnesowało i pociągnęło wskazówkę raz jeden, potem ją zaraz puściło; wskazówka się przesunęła i stanęła na literze *A*. telegrafista zaraz sobie tę literę zapisał. Znowu prąd leci i teraz bardzo szybko następuje po sobie raz po raz; więc magnes także raz po raz pociąga wskazówkę, a ta tym sposobem przebiegła prędutko litery *b* i *c*, dłużej zatrzymała się dopiero na literze *d*, a telegrafista ją zaraz także zapisał. I tak wskazówka przesuwana przez magnes zatrzymuje się kolejno na innych literach, aż póki telegrafista nie wypisze: *Adaś zdrow*. Gdyby rodzice byli gdzieś bardzo daleko i niepokoiłi się o twoje zdrowie, mogliby tym sposobem otrzymać pożądaną wiadomość w jednej chwili, bo elektryczność nadzwyczaj szybko bieży.

ZOSIA. Tak, jak wiatr, nieprawdaż, dziaduniu?

DZIADZIO. Co też ty mówisz; wiatr, w porównaniu do elektryczności, wlecze się bardzo wolno i leniwie. Czy wiecie, co to jest sekunda? to jedna krótka chwilką, jedno

mgnienie oka. Otóż wystawcie sobie, że prąd elektryczny w przeciągu takiej króciutkiej sekundy mógłby oblecieć całą ziemię dokoła—i to nie raz, ale parę razy. Wiadomości telegraficzne mogłyby przybywać na koniec świata w téjże samej chwili, kiedy są z drugiego końca wysłane, a jeśli się trochę opóźniają, to dla tego jedynie, że ludzie nie mogą tak szybko chodzić około swoich przyrządów, jak elektryczność.

ZOSIA. Dziwne rzeczy, doprawdy, dziwne rzeczy; jakżeby ja chciała zobaczyć na własne swoje oczy coś takiego elektrycznego.

DZIADZIO. Mogę ci zaraz tę przyjemność zrobić. Adasiu, podaj mi ten kawałek laku, co tam leży na biurku. Patrzcie, pocieram o rękaw, a teraz uważajcie, jaką ja tu z nim zrobię sztukę. Oto są strzępki gęsiego pióra, drobne okruszyny waty, niteczki porozrywane, ten lak je będzie przyciągał tak, jak magnes przyciąga kawałeczki żelaza.

ADAŚ. Ach, prawda! cóż się to stało z tym lakiem? zupełnie teraz do magnesu podobny.

DZIADZIO. Wzbudziliśmy w laku elektryczność przez potarcie. Jest wiele przyrządów, umyślnie do tego zrobionych, które można bardzo silnie naelektryzować, pocierając je sukniem, lub natrzepując futerkiem jakim, a będą się z nich iskry sypały i nie można się ich będzie dotykać bez niebezpieczeństwa.

ZOSIA. I to wszystko ta osobiwa jakaś elektryczność takie sztuki wyprawia. Co też to jest na świecie dziwnych i ciekawych rzeczy; piorun, błyskawica, telegraf i ten lak, co tu przyciąga strzępeczki, to wszystko elektryczność. Ale, co to jest takiego elektryczność?

ADAŚ. Mówił przecież dziaduniu, że to taka siła, a mówił także, że najuczciśsi ludzie nie wiedzą dobrze, z kąd to wszystko pochodzi i co to jest takiego. My przecież nie możemy więcej wiedzieć od najuczciwszych ludzi, dosyć z nas i tego, co dziaduniu opowiedział. A teraz, chodźmy już się bawić i nie naprzykrzajmy się dziaduniowi, to jeszcze i drugi raz nam coś ciekawego opowie.

M. J. Z.

RYMANÓW.

Czytując piękne powieści o waszych rówiennikach, kształcących się pod czujną opieką rodziców i nauczycieli, nie zapominajcie, drogie dzieci, o tych biedakach, którzy ciężką pracą dobijają się muszą chleba, często bez sił odpowiednich i bez przygotowania. Kraj nasz niezmiernie jest ubogim w zakłady ułatwiające nabywanie rzemiosł i umiejętności, za pomocą których można sobie i drugim spokojny byt zabezpieczyć; brak przemysłu domowego na każdym kroku daje się uczuć dotkliwie. Tém większa też należy się zasługa osobom, dającym dobry przykład na tój drodze.

Miałam sposobność zapoznać się z ciekawą okolicą Beskidu, wśród której króluje słynny z cudownych kuracyi, *Iwonicz*—zakład kąpielowy, zbliżony nieco do Ciechocinka. Beskidami, jak zapewne wiecie, zowie się południowo-wschodni stok pasma Karpat. Iwonicz, wieś pięknie zabudowana pomiędzy górami, pokrytymi świerkowym i jodłowym lasem. Kilka źródeł lekarskich wytryskuje w dolinie. Nieco wyżej ku górze prowadzi ścieżka do głównego źródła gazu błotnego, przezwanego *Bełkotką*, zapewne od szmeru, czyli bełkotania się wody. W tój sadzawce, ocembrowanej ciosem i okoloną żelazną baryerą, gaz ów zapala się zupełnie jak nafta, a raz zapalony z wielką trudnością daje się zagasić. Bełkotka jest ulubionym celem przechadzki gości bawiących w Iwoniczu; czeka tam na zmęczonych altanka z ławeczkami, napatrzwszy się szczególnemu temu zjawisku, każdy odczytuje pamiątkowy wiersz Pola, wryty na marmurowej tablicy:

W cieniu tych lasów, coś tam szemrać słodko,
Dziś, jak przed wieki, witasz nas, Bełkotko,
O, jak natchnienie przez duszę przepływa—
Czysty się płomień z tych nurtów dobywa,
A czołaj przejęci nad źródłami twemi,
Wielbimy Boga, w cudach naszej ziemi.
Bo ogień święty i szmer źródła rzewny,
Co tajemniczo z pod ziemi wychodzi,

Jest temu życiu serc naszych pokrewny,
Co się z płomieni i łez cichych rodzi.

O milę od Iwonicza leży miasteczko Rymanów, należące do hrabiów Potockich. Pani Potocka pochodzi z rodziny Działyńskich, wsławionej w kraju czynami szlachetnymi i mądrymi. Kochając lud, zaczęła ta pani wta jemniczyła się w jego zwyczaje i sprawy. Wiedziała, jak biednymi są górale, więc przedewszystkiem o wydobywaniu ich z nędzy myśląc, porównywała zajęcia i środki utrzymania chłopów Szwajcarskich np. W Szwajcaryi rozwinięte jest snycerstwo, każdy wracając z tamtąd, przywozi mnóstwo cacek stanowiących źródło dochodu Szwajcarskich górali. Wyplatają oni koszyki, kapelusze. Nie stwarzając sztucznych źródeł i dróg, właścicielka Rymanowa bacznie przyglądała się naturze tego ludu, i znalazła wskazówki tak wyraźne, że tylko iść za niemi wypadało. Pa-sący było pastuszkowie prostym kozikiem wyrzynali nieraz wcale zręczne przedmioty, ot tak sobie, dla zabawki. Uderzona tym widokiem, pani Potocka, pomyślała, czemuby się stać mogła owa zręczność, owa pilność pastusza, gdyby nią umiejętna ręka pokierowała? Zajmował ją los tych dzieci biednych, zaniedbanych, nędznych, rzuconych bez zajęcia ni opieki, a przecież niepozbawionych ani przyrodzonych zdolności, ani chęci do pracy.—Między zacnymi ludźmi bardzo wielu jest takich, którzy boleją nad losem opuszczonych współbraci, wielu takich, którzy marzą o poprawie i projektują sposoby ratunku, ale bardzo niewielu tak energicznych i tak szczęśliwych, by im się udało dobrą myśl wprowadzić w wykonanie. Udało się to pani Potockiej.

Przejęta do żywego potrzebami ubóstwa, sprowadziła do Rymanowa zdolnego nauczyciela, sama z poczuciem artystycznym wzięła się do rysowania wzorów i założyła szkołę, z kilku górali na początek zwołanych, sposobem próby. Szło o to, by nie męcząc ich długą nauką, wprowadzić w wykonywanie przedmiotów łatwych a pięknych; by po kilku tygodniach dać im możliwość zbytu i sposób zarobkowania.

Cztery lata temu drzwi domu państwa

Potockich stały otworem dla tych biedaków; w samym pałacu przeznaczono obszerną izbę na naukę, i pokoik na wystawę gotowych już przedmiotów.

Nauka poszła rażno i chętnie; chłopcy, czując nad sobą dłoń opiekuńczą, macierzyńską niemal, przywiązali się gorąco do rymanowskiej szkoły. Jedni sprowadzali drugich—wkrótce okazało się daleko więcej chętnych, aniżeli taki zakład, prywatnemi siłami prowadzony, mógł nawet pomieścić. Z żalem musiano liczbę uczniów ograniczyć. Wtedy udawali się oni często do wybiegów. Zdarzało się, że w największą niepogodę zjawiał się taki nieprzyjęty, nadliczbowy chłopiec, a znając serce przewodniczącej, trafiał do niego prośbą: „No, wypędźcie mnie teraz!”—mówił, zrzucając z siebie przemoknięty kożuszek i grzejąc skostniałe ręce przy rozpalonej ognisku, „taki czas, że psa nie wypędzi, wypędźcie mnie napowrót w góry!” Rozumie się, że wygrywał sprawę i zostawał, a gdy raz pozostał—nie łatwo się go było pozbyć.

Trzeba przyznać, że zajęci swą pracą, chłopcy starają się sprawiać jaknajciszej i jaknajprzykładniej; nie słyszą ich w pałacu. Skoro świt, zasiadają do wielkiego stołu, przy którym warsztat jest prowadzony, i podług danych wzorów wycinają z drzewa różne drobiazgi, jak noże do papieru, obsadki, guziki, linijki, brosze, kołczyki, lichtarze, figurki, krzyże, najrozmaitsze ramki do fotografii i obrazów—doprowadzone niekiedy do prawdziwego arcyzmu. Dalej w różnych wielkościach i kształtach liście winogronowe, liście paproci, postumencieki, przyciski, kałamarze (śliczne są zwłaszcza w kształcie snopka i pług) chałupki do cygar i zapalek, półeczki, koszyki do kwiatów, serwisy do octu, oliwy i konfitur, studzienki, laski z gałkami, owite liśćmi bluszczowemi, i najpiękniejsze z wszystkiego talerze i półmiski. Może zdarzyło wam się spotkać, drogie dzieci, śliczne talerze do owoców, okolone wieńcem liści, lub napisem: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.“ W środku snop, pług, radło—symbole rolnictwa. Nic prostszego i piękniejszego zarazem nie może być do podania chleba, nic miłszego nie sprawia wra-

żenia, jak widok takiego naczynia wyciętego z pobożną myślą, z wyjątkiem z modlitwy Pańskiej, ręką dziecka ludu, która w bezpośrednim stosunku z rolą, na przysporzenie tego chleba powszedniego pracuje. To też każdy wybierający się w te strony ma sobie za święty obowiązek i za największą przyjemność także, zaopatrzyć dom swój i obdarować przyjaciół pamiątkami z Rymanowa.

Goście lecący się w Iwoniczu korzystają z pięknej niedzieli, by zwiedzić szkołę i wybrać coś z przedmiotów, wystawionych w oszklonych szafach. Niekiedy, ułatwiając zbyt młodym pracownikom, pani z Rymanowa wysyła paki drobiazgów do Iwonice, a tam wystawione w publicznej sali, bywają skwapliwie rozbierane. Kraków i Lwów zaopatrują swe sklepy w przedmioty tak pięknie i starannie wykonane, niektóre z nich pokazały się i w Warszawie, gdzie miałyby niezawodnie pokup, gdyby nie trudność komunikacji.

W Iwoniczu spotyka się często, zwłaszcza w dni świąteczne, chłopców roznoszących drewniane przedmioty w koszach. Są to po większej części dawni uczniowie rymanowskiej szkoły, którzy na podobieństwo tamtejszych wzorów rzeźbią drobiazgi, sprzedawane nieco taniej, ale też wykonywane z mniejszą dokładnością. W widokach szybszego zbytu i większego zysku, prowadzą sprzedaż na własną rękę, stąd przedmioty te nienacechowane artystycznym wykończeniem, nie noszą na sobie śladu opiekuńczego kierunku. I na tej drodze przecież postęp zaczyna być widocznym, bo dzieci okolicznych wiosek, jakkolwiek samouczki, starają się dorównać małym arcydziełom, pochodzącym z Rymanowa. A teraz zastanówmy się nad tem, jakie znaczenie ma pod względem moralnym *Szkółka Rymanowska* dla dzieci ludu; oprócz tego, że biednym daje chleb do ręki, największą pomoc, stokroć ważniejszą i świętszą od wszelkiej jałmużny, *możność zarobkowania o własnej sile*. Najpierw z poczuciem moralnej opieki rodzi się przekonanie, że są ludzie pojmujący miłość bliźniego w czynie, nie tylko w słowie, ci właśnie, którzy dopomagają do umiejętnego zarobienia na chleb

powszedni i budzą w maluczkich pojęcie samodzielnosci. Wprowadzony do *szkoły* pastuszek, wyniesie z niej tyle dobrego, że wpływ jej niezawodnie oddziaływa na całe życie, pod względem oświaty, moralności i ogłady.

Nikt chłopców tych nie potrzebuje łajać ni moralizować, sami oni zrozumieli, że opieka ludzi dobroczynnych obowiązuje ich do cnoty. Wprowadzeni w ład, w porządek wzorowy, *sami się pilnują*, a jednak, jak mówiłam, żaden dozorca nie zdołałby utrzymać téj ciszy przykładnej, jaka w szkolnej izbie panuje. Żadne hałasy, żadne klątwy nie dają się słyszeć, co jest nie małą zasługą dzieci, których nikt nie wychowuje, nad którymi nikt nie czuwa. Zauważywszy, że wódka prowadzi do złego, dzieci te zamlodu wyprzysięgły się mocnych napojów, o czém właścicielka Rymanowa dowiedziała się zupełnie przypadkowo. Nie zdarzyło się też, by młodzi górale, dochodząc do jakiegoś grosza, zrzucali swe włóściańskie szaty, przeciwnie, pozostają wierni granatowym kamizelom i kożuszkom.

Praca uczy ich oszczędności. Pieniądz zapracowany w *szkołce* nigdy nie idzie na marne, ale zbierany skwapliwie i oszczędnie, służy na zakupienie niezbędnych w gospodarstwie lub w ubiorze przedmiotów, niekiedy chłopcy zwiększają mienie domowe jakimś cielęciem. Zapewne chłopcy ci, wyćwiczeni w pracy porządnie prowadzonej, muszą dobry wpływ wywierać na mieszkańców gór. Częstoż Bóg dopuszcza, że dzieci stają się nauczycielami i kierownikami starszych, jeśli sami ulegają ludziom zacnym

i rozumnym. Pamiętajcie, młodzi czytelnicy, że obowiązek oświecania maluczkich ciąży na nas wszystkich. Czy to między wieśniakami, czy między służbą, czy w szkołkach, czy w ochronkach, czy wreszcie w domowej zagrodzie, wszędzie można znaleźć sposobność służenia drugim i dzielenia się naszą, choćby najskromniejszą wiedzą. Nie każdemu dano zapewne iść śladem szlachetnej założycielki szkoły snycerskiej w Rymanowie—ale każdy niezawodnie może i powinien, bodajby w małej części, przysłużyć się bliżnim na tej drodze. Nauka udzielona drugim, jak ziarno rzucone w zie-

mię, sowitym plonem się odwdzięczy, a im więcej światłych ludzi na ziemi, tém bliższe przyjdzie Królestwa Bożego, o które codziennie modlimy się w pacierzu.

Pokój ludziom dobrej woli — a od nas im się należy uczucie czci i słowo dobrego wspomnienia.

Wanda Żelenska.



M a g n e s.

OBRAZKI GEOGRAFICZNE.

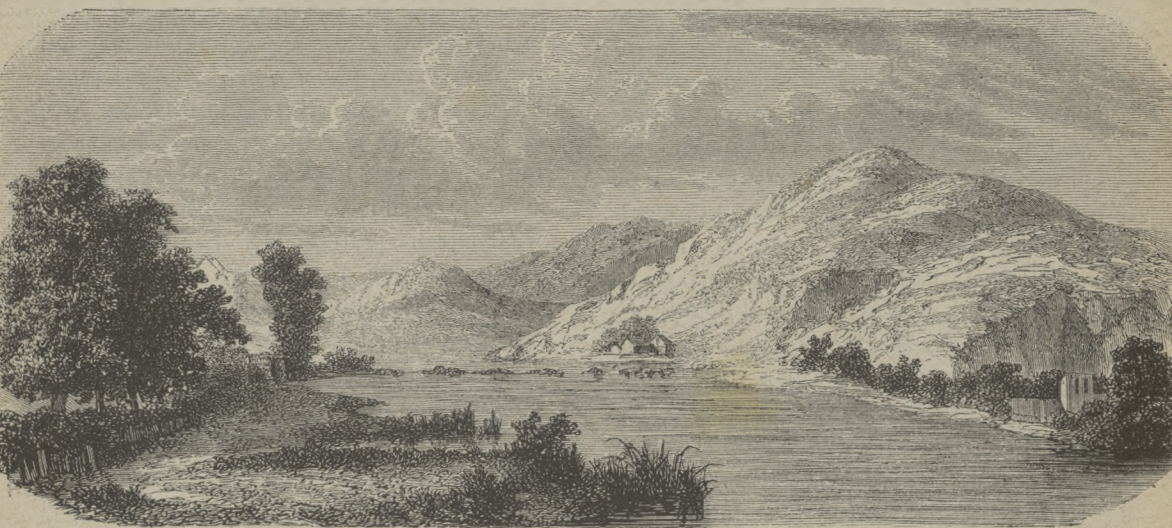
(Dalszy ciąg).

Na południowej stronie Bałkanów zasługuje na wzmiankę miejscowość zwana Kazanlykiem. U stóp gór leży miasteczko, otoczone dokoła wspaniałym lasem orzechowym, a za lasem ciągną się wielkie pola, całe pokryte najpiękniejszymi różami. Wyobraźcie sobie, jak tam na wiosnę musi być przesłicznie, różowo, gdy wszystko to zakwitnie, a powietrze napełni się wonią tych cudnych kwiatów. Mieszkańcy Kazanlyku wyrabiają

z tych róż pachnidła i znaczny handel niemi prowadzą.

Wszędzie w tym kraju, zwłaszcza w pobliżu Bałkanów, kwitnie rolnictwo, a nawet i przemysł pomyślniej się rozwija, niż w innych częściach półwyspu. Na żyznych grun- tach Bułgarii udają się wybornie wszelkie gatunki zboża. Dostawcy dworscy ztąd zwy- kle sprowadzali do Konstantynopola prze- dnią pszenicę, przeznaczoną na wytworne ciasta sułtańskiego stołu. Jedwabniki hodu- ją się także w znacznej ilości na południowej stronie Bałkanów i wyrabiają tam różne jed- wabne tkaniny. Lud bułgarski jest pracowity

nieprzerwaną sieć wyżyn. Poniżej Sofii, tam gdzie się kończą ostatnie gałęzie Bałkanów, przytyka do nich inna gromadka gór okaza- łych, Rilo dag. Jest to strażnica najdalej na północ wysunięta łańcucha Rodopu, który dziś nosi nazwę Despoto-dag. Wyraz *dag* o- znaacza góry po turecku. Wyniosłe szczyty Rilo-dagu, strome, poszarpane, zupełne przed- stawiają przeciwieństwo z falistemi i zaokrą- glonemi grzbietami Bałkanów. Na tych wy- żynach zimą i latem gromadzi się mnóstwo chmur; w miesiącach zimowych spada z nich niezmierna obfitość śniegu, ale gdy słońce przygrzeje wśród lata, wszystko to topnieje



Dolina rzeki Trebinezycy.

i przemysłny; w każdej niemal wiosce można napotkać jakąś rękodzielną; tu wyroby tka- ckie lub garncarskie, tam znów żelazne, a na- wet jubilerskie.

Lecz w miarę oddalenia od gór, rozległe równiny, przytykające do brzegów Dunaju, coraz smutniejszy przedstawiają widok. Naj- dotkliwiej daje się uć brak lasów; na zna- cznych przestrzeniach często ani jednego drzewka nie widać, a mieszkańcy, nie mając paliwa na zimę, wykopują sobie nory pod- ziemne i chronią się w nich od mrozów.

Wszystkie łańcuchy gór na półwyspie Bał- kańskim splatają się z sobą i łączą, tworząc

prędko i spływa potokami w doliny. Chmu- ry nigdy nie przestają rzucać się o skaliste wierzchołki i burze huk i tam prawie co- dziennie. Zwykle około południa, jak opisu- ją podróżni, gęste mgły zaczynają się osuwać i zaciemniają cały widnokrąg, wiech- wa, wybucha gwałtowna nawałnica, spada deszcz ulewny, a w parę godzin chmury już zaczynają się przerywać, gdzieś tam wy- ziera szmat błękitu, potem szczyty jeden po drugim wynurzają się na tle rozjaśnionego nieba, oblane promieniami zachodzącego słońca.

Daliej na południe ciągnie się inny łań-

cuch gór, w starożytności zwany Orbelos, a teraz Perim; dalej jeszcze, pasma pomniejsze bieżą w kierunku zachodnim, aż po drugiej stronie rzeki Wardar przypierają poprzecznie do wielkich łańcuchów Skardagu i Pindu. Cała ta kraina pomiędzy Wardarem i jeziorem Ochryda, za czasów starożytnych Dardanią zwana, pokryta jest gęstą siecią gór, które szczególnym sposobem są rozłożone i nakszałt wałów potężnych opasują dokoła głęboko zapadnięte kotliny, okrągłe lub podłużne. Są to zapewne także osuszone dna wielkich jezior; dziś w głębi tych kotlin rozkładają się miasta i wioski.

A teraz pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów kilka o narodzie bułgarskim, zamieszkującym stoki Bałkanów. O początkach jego i pochodzeniu tyle tylko wiadomo z historii, że Bułgarowie przybyli tu niegdyś od wschodu, z nad Wołgi, a opanowawszy rozległą krainę na półwyspie Bałkańskim, założyli potężne państwo, rozciągające się po obu stronach łańcucha Bałkanów, które zajmowało całą Dardanią, a nawet i Albanią. Miasto Ochryda nad jeziorem tegoż nazwiska było stolicą dawnych władców Bułgarii. Ci najezdcy nie należeli do szczepu słowiańskiego, ale prawdopodobnie byli tegoż samego pochodzenia, co Hunnowie i inni barbarzyńcy, którzy w wiekach średnich napływali do Europy z azyatyckich stepów. Ale dzisiejsi Bułgarowie mówią językiem słowiańskim, do serbskiego zbliżonym, powierzchowność ich i obyczaje także mają cechy czysto słowiańskie, trzeba też przypuszczać, że plemie owych dawnych najezdców zmieszało się ze Słowianami dawniej już osiadłymi na ziemi zawojowanej i w końcu zatraciło zupełnie własny swój język i narodowość, przekazując tylko nazwisko wiekom potomnym. Dziś Bułgarowie powszechnie są zaliczani do południowej Słowiańszczyzny, o której teraz właśnie opowiadać wam mamy.

Bośnia i Hercegowina.

Gdyby przystęp do półwyspu Bałkańskiego nie był tak utrudniony z powodu braku dróg i niskiego stanu cywilizacji mieszkańców, Bośnia byłaby niezawodnie

tak licznie zwiedzana przez turystów, jak Szwajcarya. Kraina ta górzystą i malowniczym swoim położeniem przypomina bardzo uroczne alpejskie okolice, chociaż góry jej nie dorównują wysokością okazałym Alpom. Są to po większej części skały wapienne, najeżone ostreimi, pozębionymi iglicami. Liczne pasma, postępując ku południowi, podnoszą się stopniowo coraz wyżej, a na samej granicy Czarnogórza piętrzy się szczyt najwyższy, Dormitor. Jestto potężna skała naga, bielejąca z daleka, nakszałt olbrzymiej piramidy, a tak stroma i nieprzystępna, że dotąd nikt jeszcze wdrzeć się na nią nie zdołał.

Głębokie wąwozy oddzielają w kilku miejscach pasma gór Bośni od sąsiednich wyżyn serbskich. W rozleglejszej dolinie leży miasto Nowibazar; jest to ważny punkt strategiczny, jakby klucz całej tej krainy, bo tu się otwiera jedyne dogodniejsze przejście na południe. Poniżej Nowibazaru ciągnie się nizina, przetrzęta rzeczką Sitnicą, sławna w dziejach południowej Słowiańszczyzny pod nazwą pola Kosowego. Tu przy końcu XIV wieku sułtan Amurat pobił i zniszczył do szczytu wojsko serbskie, a naród ten przez czas długi jęczał pod jarzmem tureckim i niedawno dopiero odzyskał swoją niepodległość. Liczne zastępy wojsk muzułmańskich przeciągały tu nieraz, niosąc zniszczenie plemionom słowiańskim.

Dalej na zachód łańcuch gór potężnych opasuje dokoła głęboką kotlinę, której dno zajmuje jezioro Plawa. Góry te noszą nazwę Przeklętych (Proklati) a najwynioślejszy ich wierzchołek, Kom, wyższy jest jeszcze od Dormitoru. Dwa te olbrzymy stoją naprzeciw siebie po obu stronach Czarnogórza, jakby groźne słupy graniczne. Kom, jakkolwiek wyższy, przystęp ma łatwiejszy niż Dormitor i na szczyt jego wchodzili już nieraz podróżni i podziwiali wspaniały widok, który się ztamtąd roztacza na całą okolicę i na dalekie morze.

Bośnia ma klimat znacznie cieplejszy od innych części półwyspu Bałkańskiego, któreśmy przedtem opisywali. Wysokie góry osłaniają ją od ciepłych powiewów południa; już tu nigdzie nie widać drzew oliwnych,

ani gajów pomarańczowych i cytrynowych. Za to kraj cały pokryty jest bujnemi, wspinałemi lasami, a rosną w nich wszelkie gatunki drzew europejskich, począwszy od sosen i buków, aż do orzechów i kasztanów. W lasach tych ukrywa się mnóstwo dzikiego zwierza, niedźwiedzie, dziki, kozły, a szczególnie ogromne gromady wilków; skóry ich stanowią ważny przedmiot handlu w tym kraju. W lasach dębowych, na pograniczu północném, żyją oprócz tego liczne trzody świń na wół żdziczałych, a opadające żółędzie dostarczają im obficie pożywienia. Ztąd nawet Turcy nazywają pogardliwie północną Bośnią krainą świń.

Jak zwykle w krajach górzystych, liczne strumienie spływają z wyżyn, a prawie wszystkie znaczniejsze rzeki, Una, Werba, Bosna i inne, kierując się pochyłością gruntu, płyną ku północy i wpadają do Sawy. Bieg ich jest nadzwyczaj niespokojny; przeciskając się pomiędzy splątana siecią gór, często zbaczają z drogi, przerzucają się nagle z jednego wąwozu w drugi, prąd ich miejscami powolny i cichy, dalej znów staje się gwałtowny i szalony. Jedna tylko Narenta, która zrazu, tak samo jak inne rzeki, zwraca się na północ, później natrafiwszy na szczelinę poprzeczną, zmienia zupełnie kierunek, wykręca się na zachód i wpada do morza Adryatyckiego.

Grunt w Bośni składa się przeważnie z pokładów wapiennych, a skała tego rodzaju zawsze z łatwością się rozkrusza i powstaje ztąd mnóstwo szczelin, przepaścistych zagłębień, gdzie strumienie, a nawet i większe rzeki często zaciekają, nikną pod ziemią i dalej gdzieś wydobywają się znów na jej powierzchnię. Nieraz tam wśród skał poszarpanych wyzierają głębokie otwory, do kraterów podobne i pochłaniają wodę deszczową, a nawet potoki z gór spływające. Nieraz także z pomiędzy głazów, z podziemnej pieczary, wybucha nagle wielki strumień wody; to rzeka, która poprzednio zapadła gdzieś w głębinę i drogą podziemną przedarła się aż tutaj. Czasem taki strumień ukryty, przebywszy długą drogę, dopiero nad samym brzegiem morza wydobywa się na powierzchnię i bucha w górę, nakształt wspa-

niałego wodotrysku. Najwięcej zjawisk podobnych napotyka się w Hercegowinie, południowej prowincyi Bośni. Grunt tam jest jakby ruchomy, pełen rozpadlin i głębokich otworów. Okolica ta jest zazwyczaj pozbawiona wody, bo wszystko, jakby przez sito, w głąb zacieka, ale gdy spadną obfite deszcze, zbiorniki podziemne rozlewają się na zewnątrz, by wkrótce zniknąć znowu. Wielka kotlinka, którą przecina rzeka Trebinzycza, nim się połączy z Narentą, bywa kolejno zarybionem jeziorem i suchą, spragnioną niziną. Cały bieg Trebinzycy przedstawia ów widok ciekawy rzeki niknącej pod ziemią, to znów wypływającej na powierzchnię; brzegi jej słyną z malowniczego położenia, zwłaszcza w tej części doliny, gdzie leży miasto Trebinia, jedno z główniejszych w Hercegowinie. Na nieszczęście ta część kraju nie jest już dziś tak lesista, jak Bośnia właściwa i w wielu miejscach stoki wyżyn, огоłocone z drzew, smutny przedstawiają widok.

Według zdania nielicznych podróżników, którzy odważyli się zwiedzić Bośnią, pomimo niebezpieczeństw i trudów wszelkiego rodzaju, nie wiele znaleźć można w całej Europie miejscowości tak uroczych, jak część środkowa tego kraju, gdzie w rozległej, rozkosznej dolinie, leżą dwa główne miasta, Serajewo, czyli Bosna-Seraj i Trawniki. Grunta w całym kraju bardzo są urodzajne, bogactwo wszelkich płodów przyrodzonych niezmiernie, ale mieszkańcy korzystać z tego nie umieją; przemysł stoi tam na tak niskim stopniu, handel tak mało jest rozwinięty, że wszystko, co ziemia obficie wydaje, starczy tylko na własne potrzeby i prawie nie wychodzi za granice kraju.

Bośniacy są pochodzenia słowiańskiego, ale po zawojowaniu tej ziemi przez Turków, wielu z nich odstąpiło od wiary chrześcijańskiej i przyjęło islamizm, dla uniknięcia prześladowania i zachowania majątków, które muzułmanie wydzielali chrześcianom. Dla tego to obecnie ludność w Bośni w połowie tylko jest chrześcijańska, a potomkowie dawnych renegatów odznaczają się większym jeszcze fanatyzmem od rodowitych Turków. Nawykli od wieków do prześladowania swych braci, którzy zachowali wiarę przodków, do-

tańd żyją z nimi w ustawicznej niezgodzie i rozdzieleniu. W takich warunkach naród nie może być szczęśliwym, ani podnieść się ze stanu barbarzyństwa. Bośnia także niedawno oderwaną została od Turcyi i przeszła pod opiekę państwa Austriackiego.

(d. c. n.)

PAMIĘTNIKI JASIA.

OGŁOSIŁ

Piotr Jaksy Bykowski.

(Dalszy ciąg).

XXIV.

Wizytatorowie.

Każda stancya miała swojego wizytatora z nauczycieli, który winien był najmnij raz na tydzień każdą stancyą zwiedzić i o rezultacie wizyty w księgę sznurową, na ten cel od dyrekcji wydaną, zapisać. Prócz tego nie było prawie tygodnia, aby sam X. Dyrektor lub p. Prefekt każdej stancyi nie zwiedzili. Wizyty owe nie mało się przyczyniały do utrzymania ogólnego porządku; wizytatorowie wglądali we wszystko, tak ze strony utrzymujących, jako i uczniów, wszędzie przestrzegali czystości i dobrego zachowania. Przybywali oni w rozmaitych porach, a zawsze najmnij spodziewanie: jeżeli np. wieść doszła, że ktoś utrzymujących źle żywił uczniów, wsuwał się p. wizytator niepostrzeżony w czasie obiadu lub wiececzy, zasiadał do stołu, a jeżeli znalazł coś do zganienia, i utrzymującemu się dostało. Niekiedy znów opatrzył bieliznę i pościel, i nic jego bystrego oka nie uszło.

Wszakże dla spełniających swe obowiązki wizyty te były bardzo miłe i pożądane, nieraz bowiem p. wizytator zajrzał do książki jednemu, drugiemu, zapytał czego się uczy, a przytęm objaśnił i naukę ułatwił; niekiedy, gdy przybył w czasie zabawy, zagrał z ucz-

niami w piłkę, lub zabawił się w inny sposób.

Nigdy nie zapomnę tęg cechy naszeg szkoły, że nauczycielski obowiązek nie kończył się w nięj z opuszczeniem katedry; przeciwnie wiązał nauczycieli z uczniami stosunek towarzyski, uprzejmy i przyjazny, surowość zawsze się znalazła, gdzie była potrzebna. Nauczyciele starszych i lepszych uczniów zapraszali do siebie w gošcinę, z każdym młodszym spotkanym nauczyciel zawsze wdał się w rozmowę, lub zganił, gdy było co do zganienia. Nakoniec drzwi każdego z nauczycieli były otwarte w każdej porze, gdy uczeń przychodził po objaśnienie czegoś dla siebie niezrozumiałego. Nieraz, pamiętam, gdy który z uczniów wymawiał się nie pojęciem jakiego przedmiotu, nauczyciel strofował go w te słowa: „A cóż to, nie mogłes zapytać, czy daleka do mnie droga.“

Ten to stosunek, że tak nazwę, przyjacielski, stanowił główną zaletę i wyższość naszeg szkoły, której każdy zwierzchnik był dla ucznia, nie postrachem, ale przyjacielem. Przytoczę tu fakt jeden obchodzenia się z nami nauczycieli.

Uczniom, prócz szkoły i kościoła, a także przechadzek w święta i dni rekreacji, dokąd wszyscy udawali się razem z dozorcą, niewolno było wychodzić z domu, z wyjątkiem naglącej do tego potrzeby i to nie inaczej, jak za kartką dozorecy, oznaczającą ściśle czas, na jaki uczeń otrzymywał pozwolenie. Wkrótce po wstąpieniu mojem do szkół, jeden z moich kolegów z 3 klasy, S., z naszeg stancyi, uczeń nawet dobry, ale przytęm włóczęgi wielki amator, wpadł raz na taki pomysł—napisał do siebie list od ciotki, która, jakoby zmęczona podróżą i chora, wzywała go do gospody; żydek jakiś, za wynagrodzenie kilku groszy, list ten przyniósł i o szczegółach mniemanego przybycia ciotki szeroko opowiedział. Jak to było zwyczajem, dozorca p. Trusiewicz, wysłuchawszy go lekcji zadanych, do czego zapewne już dobrze się przygotował, udzielił mu pozwolenia odwiedzenia ciotki, z kartką na dwie godziny.

Nieszczęście mieć chciało, że S. ledwie się wyrwał, spotkał profesora Uldyńskiego, który, o ile na katedrze poważny, a nawet

surowy, był wielkim gawędą poza klasą i żadnemu spotkanemu nie przepuścił, a do tego każdego z uczniów przeczywał jakimś historycznym imieniem, przez co niejednokrotnie niejednemu wbił fakt historyczny w głowę. Skoro spotkał S., z powinności nauczyciela zapytał o kartkę, potem rozumie się gawędka: ciotka przyjechała, więc zkąd, jaki tytuł pokrewieństwa i t. p. pytania się posypały, a już nie wiadomo jakim sposobem, czy może w skutek pomieszania ucznia, profesor odkrył kłamstwo i nagle zagadnął:

— Prowadźcie mnie, chłopcze, do twój cziogodnej ciotki, radbym mieć zaszczyt poznać tę pani.

S. biedny wymawiał się, profesor nalegał i skończyło się na tém, że rad nie rad nieborak do kłamstwa musiał się przyznać. Wszakże my o tém nie wiedzieliśmy, gdy wtém, bawiąc się w piłkę na podwórzu, ujrzelśmy wchodzącego pana Uldyńskiego, który był naszym wizytatorem, razem z S. mocno pomieszanych:

— A witajcie, chłopaki!—ozwał się wesoło swoim zwyczajem profesor — macie tu dwóch nowych graczy do mety, ja i Krzysztof Kolumb — i wskazał na S.,—ale ten mniej szczęśliwy od swego imiennika, nie dotarł do swojej ciotki, jak tamten do Ameryki, która, to jest ciotka, a nie Ameryka, nie mogąc się go doczekać, w dalszą wyruszyła drogę, a my, spotkawszy się, wróciliśmy razem.

Biedny S. zarumienił się aż po same uszy, co przypisywaliśmy niespodzianemu odjazdowi ciotki. Profesor stanął z nami do mety; dobrze nam skórę piłką wytatarował. Prawdziwie trudnym to było do pojęcia, że mąż ten z głęboką nauką łączył taki humor i towarzyskość, wprowadzając tylko względem uczniów, bo z nimi tylko przestawał.

Po odejściu profesora, S. dokłamał nam reszty szczegółów o nagłym wyjeździe ciotki i wszyscy nie powątpiewaliśmy o jego historyi.

Lecz nazajutrz pierwszą lekcją miał pan Uldyński, którego pomiędzy sobą nazywaliśmy „miodopłynnym“, bo pięknie mówił, a nawet najwięksi psotnicy zawsze się tak

uciszli na jego wykładzie, że słysząc było brzęczenie muchy w klasie — lekcją dzisiejszą profesor rozpoczął od tych słów:

— Nim przystąpię do dalszego wykładu, muszę wam powiedzieć, moi mili, o wynalazku dokonanym przez waszego kolegę, nowego Krzysztofa Kolumba, który, jak jego poprzednik Amerykę, już, już miał odkryć ciotkę, wszakże to mu się niepowiodło...— i dalej opowiedział nam jak najdowcipniej, z wtórem naszego serdecznego śmiechu, o całej przygodzie. S. nieborak mało nie spłonął ze wstydu; a jak sam potem powiadał, było to dla niego daleko dotkliwszą karą, niżli kara, która go czekała, w razie zawiadomienia o tém p. Prefekta.

Biedak S. uzyskał przyzwisko *Kolumba*, które do ukończenia szkół zachował, a przygoda jego rozeszła się po całej szkole.

XXV.

Moje obowiązki.

Mówiąc o nowych obowiązkach moich, podzielę je na *czysto-naukowe* i *domowe*; najprzód co do pierwszych. Mielśmy szesnastu uczniów na stancyi, a chociaż dozorcą z łaski i szczególnych względów dla mnie, był zany p. Trusiewicz, lecz podjął się tego na rok jeden tylko, dopóki mnie na dozorcę nie usposobi: dla tego było moją powinnością przerabiać korepetycje z uczniami dwóch klas niższych, których było 10, z początku pod kierunkiem p. Trusiewicza, lecz gdy się przekonał, że sam temu podołać mogłem, a jak mi się zdaje dla tego, że wprawilem się przy dziadzi, przejął nauczanie Grzesia, a potem u p. marszałka, guwernerując niejako nad Guciem, więc z czasem bez dozoru p. Trusiewicz mię zostawił.

Co do domu: za całą służbę dostaliśmy od dawniej właścicielki starą sługę jednooką. Dobra to była i pracowita kobiecina, lecz pomimo iż matka jej dopomagała i to gorliwie, nie oszczędzając się, jednak sama wszystkiemu podołać nie mogła, témbardziej, że do pomocy przy dawniej gospodyni miała jeszcze wyrostka, którego ta z sobą zabrała. Uprosiłem matczkę, abym mógł zająć jego

miejsce, byliśmy bowiem biedni i dług wspa-
niałomyślnego pana Szczeniowskiego (lubo
zapewne niktby o niego nie naglił) ciążył
na nas.

Co do tego długu iście dobroczynnego, po-
wem, żeśmy go spłacili w przeciągu lat
trzech, jakoś niepostrzeżenie, p. starosta u-
mieszczał u nas co roku po dwóch swoich
wychowanców, potrącając nam z długu za
nich jakieś niesłychane sumy, a do tego do-
dając wiktuały, któremi całą stancją można
było wyżywić. A ile razy matka chciała
sprostować ten dobroczynny rachunek, gniewa-
wał się i fukał, tak, iż musieliśmy się dać
udobrodziejstwować... Niech mu Bóg sto-
krotnie nagrodzi!

Co powiedziałwszy, wracam do moich do-
mowych obowiązków, które zależały na tém,
że podczas, kiedy inni spali, ja musiałem o-
czyścić szesnaście par sukien i obuwia, i to
starannie, bo tego władza szkolna przestrze-
gała, przyszyć guziki, które sławnie się rwa-
ły i wszystko dokładnie opatrzyć. Dawnym
zaś zwyczajem izdebkę mateczki sam sprzą-
tałem.

Trzebaż było pracować i nad sobą. Żem
temu wszystkiemu podołał, zawdzięczam po
Bogu, niezapomnianemu dziadzi, który nau-
ką swoją sprawił to, iż w początkach szkol-
nych nie dla mnie nowego nie było. Ucho-
waj Boże, daleki jestem od zarozumienia,
abym się dużo nie nauczył, a nadto nie na-
brał systematu naukowego, lecz przy każdej
nowej nauce, o wszystkiém, o czém mówio-
no, zdawało mi się, że to stary znajomy i jak-
by we mgle go widzę — z łaski więc dziadzi
czasu mi zostawało sporo, nie tylko na wła-
sną naukę, korepetycją, obsługę domu, ale
i na zabawę, której także byłem wielkim
zwolennikiem.

XXVI.

Porządek szkolny.

Na odgłos dzwonka szkolnego wstawali-
śmy o godzinie 4 $\frac{1}{2}$ zrana, tak latem jako i
zimą, do piątej godziny trwało mycie i ubie-
ranie się, krótka modlitwa, a o 5-tej już każ-
dy musiał być przy stole na swoim miej-

scu; dozorca opatrywał ubranie i ręce, czyli
były czyste. Do godziny 6-tój uczniowie
pod kierunkiem dozorczy odczytywali lekcye
lub wydawali je. O 6-tój godzinie podawa-
no śniadanie, takowe zwykle składało się
z klusek lub pierogów z serem ze słoniną,
lub kaszy, a w dni postne na mleku, szko-
ła bowiem miała dispensę Biskupa, na za-
chowywanie postów jedynie z nabiałem.

Co dnia słuchaliśmy mszy św., którą od-
prawiał sam X. dyrektor i na siódmą godzi-
nę każdy dozorca winien był przyprowadzić
swoich uczniów do kościoła, tam już stawali
na wyznaczoném dla swoich klas miejscu,
gdyby się zaś kto opóźnił i przybył po za-
częciu mszy, stawał z uczniami w kruchcie
przy drzwiach i sam za opóźnienie karę od-
bierał. W dni słotne i cięższe mrozy do ko-
ścioła nie chodziliśmy, w takim razie osobny
dzwonek szkolny znać o tém dawał.

Z kościoła wszystkie klasy w ordynku
wracały, każde do siebie, a czas pomiędzy po-
wrotem i rozpoczęciem nauki o godz. 9-tój,
poświęcony był na przesłuchanie lekcyi przez
audytorów.

O 12-tój kończyły się lekcye i każda stan-
cya w ordynku pod okiem dozorczy wracała
do domu — od 12-tój odbywał się obiad i czas
był wolny na odpoczynek i zabawę do 1 $\frac{1}{2}$;
o tej godzinie przygotowywali się uczniowie
na lekcye popołudniowe, trwające od 3-iej do
5-tój godziny, za powrotem do domu poda-
wano podwieczorek, zazwyczaj chleb z ma-
skiem lub z powidłami, a w lecie bułki z owo-
cami, do godziny 6-tój był czas swobodny.
O 6-tój dozorca wypytywał się o jutrzejsze
lekcye, objaśniał co należało i każdy winien
był uczyć się na swoim miejscu do godziny
8 $\frac{1}{2}$, kiedy podawano wieczerzę, po której
uczniowie bawili się do 9-tój i nakoniec uda-
wali się na spoczynek.

Wyjątek rozkładu popołudniowych go-
dzin stanowiły wtorek i czwartek, dni wol-
ne od popołudniowych lekcyj, przez te go-
dziny w domu pracowali uczniowie do 5-tój,
a potem udawali się z dozorcami na prze-
chadzkę, która również, a nawet dłużej od-
bywała się co niedziela i święta. W dni
święteczne o 7 $\frac{1}{2}$ wszyscy stawili się na dzie-
dzincu szkolnym i klasami w ordynku, jak

to wyżej opisałem, szli do kościoła; nabożeństwo w ten dzień trwało dłużej, gdyż X. dyrektor, po przeczytaniu przypadającej na ten dzień Ewangelii, objaśniał ją stosowną nauką.

Zabawy na przechadzkach mieliśmy rozmaite, to urządzaliśmy sobie gimnastykę na drzewach w lesie, to graliśmy w piłkę, metę, palanta, starsi bili się w palcaty lub przejeżdżali się konno, a koni mieszkańcy chętnie udzielali.

(d. c. n.)

Zagadka historyczna.

Był protoplastą starożytnego i znakomitego polskiego rodu, chociaż podanie niesie, że przybył z nad brzegów rzeki niemieckiej w towarzystwie króla, który czas jakiś pędził życie tułaczę. Doszedłszy wysokich godności w kraju, zbudował zamek nad piękną rzeką górską i od tego zamku przybrał nazwisko.

Był dzielnym wojownikiem, ale najwięcej zasług położył w czasie pokoju, biorąc czynny udział w urządzeniu wewnętrznym kraju i wspierając mądrymi radami jednego z największych i najlepszych królów polskich. Dwaj synowie jego także wysokie piastowali godności; jeden nosił nazwisko ojcowskie, drugi przybrał odmienne, od innego miejsca zamieszkania. Później nieco potomstwo obu tych rodzin nosiło jednakowe nazwisko, które się także wslawiło wielce w dziejach narodu naszego. Jak się nazywał ów mąż, protoplasta całego tego rodu?

Zadanie konikowe. (J. M.)

chwa	dzie	w nie	zle	zie	rze	bo	ucz
my	od	li	kło	bie	na	wa	ku
ga	go	mie	my	na	ze	gu	
dzi	my	mi	tem	o	apie	nici	my
bo	czy	my	strze	scho	po	nie	i
ma	lu	na	za	te	mnio	nie	
wy	czy	te	dzi	bie	wa	go	
my	szę	nie	u	te	my		

Łamigłówka kryształowa. (M. B.)

- 1) Litera.
- 2) Drzewo.
- 3)
- 4) Imię.
- 5) Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery od góry do dołu, tworzą imię niezmiernie dawnego muzyka.

Łamigłówka liczbowa.

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, nazwisko sławnego współczesnego męża. Przystawiając litery, otrzymujemy:

- 1, 2, 5, nazwę miesiąca,
 - 6, 7, 3, zwierzę,
 - 1, 2, 6, roślinę,
 - 1, 7, 3, 4, 6, pewną ilość nici,
 - 3, 4, 6, 2, rzecz użyteczną dla piszących,
 - 1, 2, 3, 4, roślinę amerykańską,
 - 1, 2, 3, 6, 7, wezwanie osoby powszechnie ko-
- [chaněj.

✱

Rozwiązania do Nru 47.

Łamigłówki w kwadraciku

W	I	T
I	W	O
T	O	R

Łamigłówki zgłoskowej:

Serb
Turcja
Egipt
Futro
Amur
Niemcy.

Stefan—Batory.

Z a g a d k i.

Stu ludzi może pojechać do miasta na małym wózku, byle nie jechali wszyscy razem, ale kolejno, jeden po drugim.

Łamigłówki liczbowej:

Lenartowicz.

Arno
Rozeta
Wrona
Narew
Wino
Lato
Lira
Len
Lena
Rola.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Zosi Mal. Pierwszy liścik zapewne na pocztę zaginał, bośmy go wcale nie odebrali. Zawsze odpowiadamy niezwłocznie wszystkim kochanym naszym korespondentom i zlecenia ich załatwiamy z największą przyjemnością. Cwi-

czenia gramatyczne francuzkie Larousse'a najwięcej są używane, kosztują 80 kop., możemy je przesłać na żądanie.

Helence Z. Łamigłówka wybornie rozwiązana i zagadka także. Komedyjka zacznie się drukować w Piśmie naszym od 1 Stycznia roku następnego. W pierwszym półroczu zamieściliśmy aż trzy komedyjki, a w roku następnym rozłożymy je tak, żeby jedna przynajmniej była w każdym kwartale.

Wacławowi O. Rozwiązania zagadek są trafne, ale na drugi raz prosimy o dłuższy liścik, bo radzibyśmy i dłuższą odpowiedź przesłać.

Mani Kl. Wszystkie dzieci powinnyby zawsze mieć w pamięci to piękne przysłowie o wczesnem wstawaniu; zawiera ono wyborną radę, która każdemu przydać się może, nietylko przy odgadywaniu łamigłówek. Dziękujemy bardzo za nadesłanie trafnego rozwiązania, a więc jeszcze za wiadomość, że *Wieczory* taką przyjemność kochanej naszej czytelniczce sprawiają. Liścik bardzo porządnie napisany, ale dla czego tak późno doszedł, kiedy data daleko wcześniejsza?

Pannu Leonowi J. w Ekaterynosławiu. List zawierający szczegółowe wiadomości wysyłamy przez pocztę.

Pani R. W. w Kijowie. Może pani zaprenumerować *Wieczory Rodzinne* od 1 Października r. b. i nadal przysyłać prenumeratę kwartalnie, pod adresem Redakcyi. Zwracamy uwagę, że adres ten zmienia się od 1-go Stycznia 1881 r. Prenumeratę kwartalną z prowincyi przyjmować odtąd będziemy, tak samo, jak inne Pisma tygodniowe, a w mieście nawet i miesięczną.

Treść.—Od Redakcyi.—Objaśnienie wzoru do rysunku, (z drzeworytem).—Bak, (wierszyk), przez M—a.—Opowiadania naukowe dziadunia, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Rynanów, przez Wandę Żeleńską.—Obrazki geograficzne, z drzeworytem, (dalszy ciąg).—Pamiętniki Jasia, przez Piotra Jaksę Bykowskiego, (ciąg dalszy).—Zagadka historyczna.—Zadanie konikowe.—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznik* rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* rs. 1 kop. 2¹/₂. *Miesięcznie* kop. 34¹/₂.—Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt.: *Rocznik* rs. 5 i 10 kop. *Kwartalnie* rs. 1 kop. 27¹/₂.—W Poznaniu u J. N. Kamińskiego: *Rocznik* 14 marek. *Kwartalnie* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką poczt. na prowincyę: *Rocznik* 16 mar. *Kwartalnie* 4 marki.—We Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta: *Rocznik* 7 złr. 20 cent. *Kwartalnie* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyę: *Rocznik* 8 złr. 80 cent. *Kwartalnie* 2 złr. 20 cent — w Krakowie u Gebetchnera i Sp. *Rocznik* 6 złr. 60 cent. *Kwartalnie* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyę: *Rocznik* 8 złr. *Kwartalnie* 2 złr.

Biuro Redakcyi: **Marszałkowska Nr. 77.**